

Głogowskiemu żal było rozformowywać tak piękny szwadron i znalazł dobre wyjście. Pozostawił szwadron tak jak był, tylko przydzielił do niego jednego oficera, por. Badowskiego i wachmistrza szefa starszego wachmistrza Fidusiewicza, zresztą najlepszego podoficera pułku i nadał mu numer drugi, a dawny drugi szwadron pułku rozdzielił między szwadrony pułku. Ja zaś dalej dowodziłem swoim szwadronem, tylko zdjęliśmy orzełki z naramienników, a założyli pułkowe J.P. i wydano nam okrągłe czapki szwoleżerskie. Koszary dostałem dobre od ulicy Myśliwieckiej i przenieśliśmy do nich cały majątek szwadronu przybocznego. Znow musiałem zagospodarowywać się na nowo, aby doprowadzić do wzorowego porządku cały rejon, który był w dość opłakanym stanie. Wprawdzie koledzy podśmiewali się ze mnie i nazywali mnie dziedzicem a Fidusiewicza karbowym, ale po paru tygodniach wyglądało wszystko porządnie.

## Znów w szwoleżerach

Początkowo moi, już teraz, szwoleżerowie czuli się w pułku trochę jakby niewinnie skrzywdzeni. Nawet ministerstwo zezwoliło, aby do końca służby nosili odznaki szwadronu przybocznego, ale ja uważałem, że to może stwarzać niepotrzebny antagonizm, zwłaszcza że zależało mi, aby jak najszybciej zatrzeć zewnętrzne odznaki niedawnej walki po przeciwnych stronach. Wytłumaczyłem swoim chłopcom, że cyfry na naramiennikach pułku zasłużonego bojowo podczas bitwy i odznaczonego na sztandarze orderem *Virtuti Militari*, są nie mniej zaszczytne niż były orzełki. Doskonale na nastrój wpłynęło przedstawienie i awansowanie na kaprała szwoleżera Lisowskiego za piękny wyczyn bojowy, którego dokonał jako ułan szwadronu przybocznego. Lisowski został wysłany z Wilanowa do Włoch, do gen. Ładosia z rozkazem. W drodze zabili mu konia, lecz on pieszo zaniósł rozkaz i przyniósł potwierdzenie odbioru do Wilanowa. Awans ten podkreślił poszanowanie czynu bez względu, po której stronie został spełniony.

W ostatnich dniach lipca wyszliśmy na koncentrację dywizji pod Ostrołękę, a ściślej nad granicę Prus Wschodnich. Pamiętam, że któregoś dnia zapowiedziano nam, że do dywizji przybędzie nowy Prezydent, prof. Mościcki. Bardzo byliśmy ciekawi, jak wygląda. Na wielkim polu stanęła cała dywizja, złożona z trzech dwupułkowych brygad. Widok był piękny, ale jak nam się podobało, gdy Prezydent wyjechał przed front konno! W meloniku, w czarnym rajtroku i białych spodniach wyglądał wytwornie. Za nim konno adiutant płk Zahorski i adiutanci. Prezydent przed każdym oficerem salutującym szablą uchylał

melonika, a przed sztandarami kłaniał się nisko. Na nas zrobiło to dobre wrażenie.

Niestety Prezydent Wojciechowski nie umiał zachować się tak, aby wojsku przypadło to do gustu. Pamiętam jakąś olbrzymią defiladę na Polu Mokotowskim, gdzie gen. Sikorski, jako minister ściągnął trzy dywizje piechoty i naszą dywizję kawalerii. Sam oczekiwał ze sztabem, siedząc na białym koniu, na Prezydenta i zdał mu raport. Eskortowałem wtedy Prezydenta i jechałem obok niego. Stał w landzie i nie posadził obok siebie majora Mazanka, który zastępował chorego gen. Zaruskiego, a kazał mu usiąść naprzeciw siebie na ławeczce. Podczas przejazdu przed frontem tej masy wojsk, gdy wszystkie orkiestry grały Hymn Narodowy i sztandary pochylały się, Prezydent nie zdjął ani razu melonika, który używał, gdy należało użyć cylinder, a jedynie podnosił rękę, co miało prawdopodobnie być namiastką salutowania. Robiło to fatalne wrażenie i było przykro komentowane.

Podczas tych manewrów miał miejsce humorystyczny wypadek. Było w awizie rozkazu dywizji umieszczone ogłoszenie, że ze szpitala, chyba w Myszyńcu, zbiegł umysłowo chory i polecenie, aby w razie spotkania go, dostarczyć zbiega władzom cywilnym. Ogłoszenie to było podane również sołtysom. W tym czasie dowódca 4 pułku strzelców Konnych ppłk Lecewicz, który był lekkoatletą, robił treningowy bieg przy szosie tylko w majteczkach kąpielowych. Był ranek i chłopci jechali na targ do Myszyńca. Nagle zobaczyli golasa biegnącego przy szosie. Uznali go za zbiegłego wariata, a to, że mówił, iż jest pułkownikiem, tym bardziej utwierdziło ich w słuszności mniemania, bo czyż pułkownik biegałby goły przy szosie? Nic nie pomogło i dostarczyli biedaka sołtysowi najbliższej wsi, aby po przesiedzeniu w jakimś chlewiku wreszcie wytłumaczyć pomyłkę.

Już tuż pod Ostrołęką rozeszła się wiadomość, że nasz dowódca ppłk Głogowski odejdzie z pułku na stanowisko generalnego adiutanta. Pułk miał objąć płk dypl. Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Trochę z rezerwą odnosiliśmy się do tego, bo były głosy, że Wieniawa nie był prawie wcale w linii, a zawsze w sztabach, tylko jako podporucznik jeszcze w Legionach i kilka miesięcy w Ostrołęce dowodził szwadronem. Jak sobie da radę? Baliśmy się, że dopiero teraz Wirski zrobi się niezbędny, a tego wszyscy nie cierpieli. W połowie września wróciliśmy z manewrów i plotki zrealizowały się. Wieniawa objął pułk. Jednak prędko zjednał nas sobie swoim nadzwyczajnym taktem i bardzo ujmującym sposobem podejścia do ludzi i inteligentnym postępowaniem.

Żaka (Jana) Głogowskiego wszyscy szanowali w pułku za jego wartości bojowe i odwagę, ale trzeba przyznać, że na czas pokojowy nie był on najlepszym dowódcą pułku, interesował się bardzo „szportem”, choć sam jeźdźcem

był nietęgim, ale najważniejszych spraw pułkowych nie rozumiał i nie widział. Wyszkoeniem też mało zajmował się, a już o szkoleniu oficerów w ogóle nie myślał i nie umiałby nawet poprowadzić. Wiele ważnych spraw składał na barki swego zastępcy, majora Wirskiego, który ogólnie był niecierpiany.

Wieniawa zupełnie inaczej podszedł do swej funkcji. Przede wszystkim pomyślał o korpusie oficerskim, słusznie rozumując, że od wartości oficerów zależy wartość każdego oddziału. Początkowo pozostawił Wirskiego, lecz po pewnym czasie spławił go z pułku, tak jak szereg innych bezwartościowych oficerów, których napchano do pułku za czasów Głogowskiego. Zajął się również korpusem podoficerów zawodowych i w krótkim czasie był przez nich niesłychanie lubiany, a zwłaszcza szanowany.

Takt Wieniawy był godny naśladownictwa. Wieniawa wprowadził zwyczaj, że raz w miesiącu odbywały się wspólne kolacje wszystkich oficerów z żonami. Na jednej z pierwszych kolacji, gdy wstano od stołu i zaczęto tańce, kilku oficerów przeszło do biblioteki i rozpoczęło grę w baka. Wieniawa podszedł do stolika i przysiadając się na chwilę postawił parę złotych, nie robiąc żadnych uwag grającym. Na drugi dzień zwołał zebranie oficerskie i zaproponował powzięcie uchwały, aby w kasynie nigdy nie grać w hazardowe gry. Umotywował swoją propozycję bardzo rzeczowo. Wniosek został przegłosowany i zapadła uchwała. Od tego dnia nigdy w kasynie nikt nie grał w gry hazardowe.

Ktoregoś ranka przychodzę do szwadronu i zastaję kartę służbową od adiutanta, że mam przedstawić wachmistrza Fidusiewicza do raportu karnego. Jestem niepomiernie zdziwiony, gdyż ten wartościowy, bojowy i wyjątkowych wartości podoficer nie mógł, moim zdaniem, zasłużyć na pułkowy raport karny. Pytam, o co mają pretensje do szefa. Na to mówi mi Fidusiewicz, że major Wirski kazał przedstawić wszystkich szefów szwadronów liniowych do raportu karnego, gdyż jego zdaniem siodła w zbiorowym szwadronie, wychodzącym na pogrzeb gen. Szymanowskiego, były niezupełnie dobrze stroczone. Mnie, jakby kto leje pod ogon wsadził, jak to? To wachmistrz szef ma odpowiadać za niedokładne troczenie? A od czego dowódca plutonu, który wyjechał z takim plutonem? Kto wreszcie dowodzi szwadronem i odpowiada za nieporządki w nim?

Nie biorę Fidusiewicza i sam pędzę do dowództwa pułku. Tu spotykam rtm. Nowińskiego z jego szefem. Odwołuję Nowińskiego na bok i pytam, czy uważa za słuszne przedstawienie szefa do raportu? Nowiński to dzielny, ale głupi chłop, awansowany z podoficera, nie zastanawia się, tylko wykonuje rozkaz. Proszę adiutanta, aby przed raportem zameldował mnie do dowódcy pułku. Wieniawa przyjmuje mnie uśmiechem i pyta, w jakiej sprawie przychodzę? Melduję, że szukam sprawiedliwości. Pytam więc, kto dowodzi 2 szwadronem, ja czy Fidusiewicz? Wieniawa nie bardzo jeszcze rozumie, o co chodzi, ale powiada, że

oczywiście ja. To dlaczego za wadliwe troczenie siodeł, uważane przez majora Wirskiego, ma odpowiadać mój szef, a nie ja? Proszę pana pułkownika, aby mnie ukarał, ale ja szefa nie mogę przedstawiać do raportu za moje ewentualne winy. Wieniawa chwilę zastanowił się i odpowiedział: „Ma pan rację, panie rotmistrzu. Proszę wszystkich szefów odesłać do koszar, a poproszę do siebie dowódców szwadronów”. Wysłuchaliśmy krótkiej reprimendy i na tym sprawa skończyła się. Wirski był oczywiście na mnie wściekły, ale musiał się ze mną liczyć, bo wiedział, że mam najlepszy porządek i na pewno najsumienniejszy prowadzony szwadron.

Gospodarka Wieniawy w pułku też zaczęła dawać dobre rezultaty. Postarał się o pełny komplet mundurów służących od parady. Rozpoczął remonty koszar i urządzenie kasyna oficerskiego i podoficerskiego, a co najważniejsze, doprowadził znów do zgrania się pułku w jedną zgodną rodzinę o wielkiej ambicji pracy i oddania pułkowi.

Przyszło lato 1927 roku i okres koncentracji letniej. Ja dostałem rozkaz odejścia ze szwadronem jako kawaleria dywizyjna do 28 DP na czas koncentracji letniej, do Czerwonego Boru. Nie byłem tym rozkazem zachwycony, ale co było robić? Rozkaz jest rozkazem. Wyszukowałem szwadron i zameldowałem się u gen. Bończy-Uzdowskiego, mego starego znajomego spod Dołhobyczowa. Pomaszzerowaliśmy do Czerwonego Boru. Kwatery dostałem początkowo marne, ale pozwolono znaleźć sobie lepsze. Znalazłem, w Pniewie nad Narwią.

Droga była przyjemna i ludność odnosiła się do nas bardzo przychylnie. Nocowaliśmy w którejś wsi, a właściwie zaścianku szlacheckim szlachty zagrodowej, już w Łomżyńskim. Rano, przed wymarszem posyłam po sołtysa, aby mu zapłacić za siano dla koni pobrane przez szwoleżerów na noc. Sołtys przyszedł, więc pytam, wiele sobie liczą? Sołtys na to pytanie odpowiada, że pieniądze to oni chcą tylko od koni oficerskich, bo od żołnierskich to nie trzeba płacić, oficerowie mają pieniądze, to niech płacą. Uśmiełem się z takich zapatrywań, podziękowałem przez sołtysa ludności i zapłaciłem za 10 koni. Trudno drogę tylko znosił przydzielony do szwadronu na staż kapitan huzarów rumuńskich Ionel Lupesku. Ten biedak, jakkolwiek był młody, bardzo elegancki i przystojny, ale słaby fizycznie i leniwy. Ten wyglądał jak zboląła niedołęga i albo spał, albo narzekał, że go wszystkie kości bołą.

Rozpoczął się okres intensywnych ćwiczeń. Prawie zawsze musieliśmy wstawać bardzo wcześnie, bo często pozorowaliśmy nieprzyjaciela i na stanowiska wyjściowe trzeba było dość daleko maszerować. Lupesku ani razu nie był na ćwiczeniach, bo zawsze zasnął, a później gęsto się tłumaczył, że czuł się chory. Najwięcej chyba przeszkadzała mu jego przystojna żona.

Pniewo to była wieś i majątek. Kwaterowaliśmy we wsi, w majątku kwaterowała tylko część oficerów i to nie od razu. Właściciele majątku państwo Jabłońscy prosili nas, aby u nich kwaterować, więc początkowo wsadziłem do nich Jonela. Okazało się, że Jerzego Jabłońskiego znałem jeszcze ze szkoły Rontalera, a pani Jabłońska pochodziła z Besarabii i była kuzynką pani Lupe-sku, która była Polką też z Besarabii. To wszystko wpłynęło, że stosunki między oficerami szwadronu a właścicielami majątku ułożyły się jak najlepiej. Nasz Lupesku, mimo że był z żoną, miał wielką ochotę czarować okoliczne panny, które jednak chętniej patrzyły na moich oficerów. We dworze często graliśmy wieczorami w pokera. Zawsze do gry namawiał najwięcej Lupesku, lecz w dość krótkim czasie ppor. Wilczyński, który kiedyś nie grał, tylko kibicował, zauważył, że Lupesku robi drobne szacherki. Zameldował mi o swoich spostrzeżeniach. Oczywiście nie wypadało mi robić z tego jakiejś sprawy honorowej, bo przecież był on oficerem tylko armii sprzymierzonej i na stażu, ale przestaliśmy z nim grać w pokera. Dopytywał się dlaczego, ale nie uważałem za potrzebne tłumaczyć mu.

Jedyny raz kiedy, Lupesku podczas manewrów wyjechał razem ze szwadronem, to była defilada na święto żołnierza 15 sierpnia. Ubrał się w swoją bermycę z kitą i dolman szamerowany, aby najpiękniej wyglądać z nas wszystkich. Niestety nie udało mu się. Gdy po defiladzie ruszyliśmy na kwatery jadąc bokami szosy, środkiem jechały powozy przybyłych na defiladę ziemian, Lupesku, zamiast jechać przy szwadronie, „toczył koniem” przy powozach i paniach. Nagle koń mu się potknął i Lupesku zleciał z niego. Diabelna kompromitacja. Nie podniósł się od razu, lecz udawał zemdlonego. Gdy podjechałem do niego, pani Jabłońska szepnęła mi, abym się o niego nie niepokoił, bo na pewno więcej udaje, niż jest to warte. Już nie siadł na konia i odjechał powozem na kwaterę. Nie pojechał też, mimo zaproszenia, na uroczysty obiad urządzony przez 56 pułk piechoty. Miał rację, bo piechurzy podśmiewali się z jego wypadku.

Wieczorem byliśmy na kolacji imieninowej u pani Marii Jabłońskiej. Aby podkreślić naszą pamięć o jej imieninach sprowadziliśmy z Warszawy olbrzymie pudło czekoladek, wręczenie którego odbyło się rano przed wymarszem na defiladę. Rano podjechaliśmy pod dwór i trębaczowi kazaliśmy tak długo grać pobudkę, aż wyszła solenizantka. Wtedy winszując jej, ofiarowaliśmy czekoladki. Była bardzo zadowolona.

Zabawa imieninowa przeciągnęła się do rana, młodzi tańczyli, starszyzna grała w karty. Ja musiałem jednak wcześniej wyjść, bo trzeba było jechać na ćwiczenia. Zawodowych oficerów zostawiłem pannom, a sam pojechałem z rezerwistami odbywającymi 6-tygodniowe przeszkolenie. Oczywiście, dowódca





Przy telefonie mjr Józef Szostak. Pierwszy z lewej por. Jan Motz.

dywizji gen. Bończa-Uzdowski przyjechał, aby zobaczyć, czy po balu szwoleżerowie będą na służbie. Wszystko było w porządku.

W połowie września skończyła się koncentracja 28 DP i wróciłem ze szwadronem do Warszawy. Dostaliśmy pochwałę w rozkazie dywizji, z podkreśleniem, że byliśmy jedynym oddziałem, na który nie wpłynęła żadna skarga od ludności cywilnej.

Po powrocie dostałem rozkaz, abym napisał opinię kapitanowi Lupesku. Prosiłem Wieniawę, aby zwolnił mnie z tego obowiązku, gdyż opinia mogłaby być jedynie ujemna, a nie przypuszczałem, jak to będzie przyjęte ze względów dyplomatycznych. Wieniawa przyznał mi rację i sam napisał. Oczywiście była wykrętna, a jedynie dodatnią cechą tego oficera było wyrobienie towarzyskie. Po tym Lupesku został odwołany ze stażu.

Jeszcze we wrześniu zostałem kiedyś zawezwany do dowódcy pułku. Pułkownik Wieniawa bez ogródek oświadczył, że dla dobra pułku chce mnie przesunąć z dowództwa szwadronu na stanowisko adiutanta pułku. Nie robił tego w kategorięcznej formie, a raczej jako propozycję, motywując następująco: staż dowodzenia szwadronem mam aż za duży, bo 6 lat, jestem najstarszym rotmistrem w pułku i przeszkolonym, jestem jednym z najstarszych szwoleżerów i mam duży autorytet wśród oficerów. Wszystko to przemawia za możliwością dobrego sprawowania tej funkcji, zwłaszcza że pułkownik otrzymał, prócz



19 maja 1928. Wizyta bp. Władysława Bandurskiego w 1 pułku szwoleżerów. W pierwszym szeregu od prawej: płk Sergiusz Zahorski, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, bp Władysław Bandurski. W drugim szeregu od prawej: mjr Kazimierz Busler, NN, NN, rtm. Józef Szostak, rtm. Wacław Calewski.



Maj 1928. Wizyta oficerów japońskich w 1 pułku szwoleżerów i 1 Dywizjonie Artylerii Konnej w koszarach przy ulicy 29 Listopada w Warszawie.





9 czerwca 1928. Wizyta oficerów rumuńskich w 1 pułku szwoleżerów w koszarach przy ulicy 29 Listopada w Warszawie.



23 czerwca 1928. Na pierwszym planie płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Najbliżej niego rtm. Józef Szostak. Trzeci z prawej konno por. Mieczysław Bigoszewski.





27 września 1928. Odchodzący do cywila na ostatniej zbiórce. Widoczni m.in.: rtm. Józef Szostak (pierwszy oficer z lewej), płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski (drugi oficer z lewej).

dowodzenia pułkiem, dodatkową funkcję od Marszałka. Dlatego adiutant będzie musiał w imieniu dowódcy załatwiać wiele spraw samodzielnie. Wprawdzie 9 lat temu byłem adiutantem, ale w obecnych warunkach ta funkcja inaczej wyglądała niż w 1918 roku. Zgodziłem się oczywiście i 2 szwadron zdałem. Wyznaczenie mnie na adiutanta było początkiem zrozumienia tej funkcji w całej kawalerii, gdy dowódcy pułków zrozumieli, że adiutant jest raczej szefem sztabu pułku, a nie oficerem ordynansowym, zwłaszcza pań pułkownikowych.

Wieniawa kiedyś nawet bardzo silnie to podkreślił, gdy ktoś o mnie powiedział:

- Adiutant pana pułkownika.
- Nie mój adiutant, a pułku – sprostował.

Wieniawa, który miał wielkie poczucie humoru i lubił puszczać w świat kawały, nawet o sobie, opowiedział kiedyś w kawiarni „Europejskiej” kawał, który w parę lat później opowiadano mi w Wilnie. Kiedy zaproponowałem Dudusiowi (bo tak mnie prywatnie nazywał), aby został adiutantem pułku, zastrzegłem, że nigdy nie możemy być jednocześnie zalani. Po paru tygodniach, przychodzi do mnie adiutant, ubrany służbowo, z szablą i orderami i melduje, że staje do raportu z zażaleniem. Pytam

- O co chodzi?
- Zapytuję posłusznie, kiedy będzie wreszcie moja kolejka, abym mógł się zalać?

Do końca dowodzenia pułkiem przez Wieniawę byłem adiutantem i praca nasza układała się jak najlepiej. Zmienił się zastępca dowódcy pułku, bo odszedł major Wirski, a na jego miejsce przyszedł ppłk Kazimierz Duchnowski, wojenny oficer 14 pułku ułanów, z opinią jednego z najdzielniejszych oficerów tego świetnego pułku. Niepotrzebnie tylko Wieniawa dał się namówić, ulegając swemu dobremu sercu, na przydział do pułku Gruzina, majora Jedigarowa. Ten nabytek był jak najgorszy, gdyż Jedigarow nie tylko nic nie umiał, ale był głupi jak but, tylko chytry spryciarz. Leń i blagier, podał się za księcia gruzińskiego i imponował czasem głuptasom snobom. Z nim nie byłem w dobrych stosunkach, bo pożytku pułk nie miał z niego żadnego i tylko kompromitował barwy pułku. Wreszcie zaczął mówić o sobie, że jest gruzińskim Wieniawą. Tego było dość i wreszcie wylano go z pułku.

Duchnowski też nie grzeszył zbyt dużą pracowitością, ale był dobrym oficerem i znał się na służbie. W 1928 roku wyjechaliśmy na manewry na północ od Płocka. Wieniawa pozostał z rozkazu Marszałka w Warszawie, a pułkiem dowodził Duchnowski. Duchnowski jednak też więcej kochał swoją żonę niż służbę i zakwaterował się we dworze o dwa kilometry od dowództwa pułku, sprowadzając tam swoją połowicę.

Trzeba przyznać, że żonę miał bardzo przystojną, choć z brzydkimi nogami, Rosjankę z pochodzenia, na małżeństwo z którą 14 pułk ułanów nie dał mu pozwolenia i musiał się przenieść do KOP. Zresztą Duchnowska źle się zapisała później, podczas okupacji. Przez tę żonę Duchnowski zwichnął sobie całą karierę wojskową. Jej nietaktowne zachowanie doprowadziło, że odebrano mu dowództwo 23 pułku ułanów i przeniesiono na boczny tor, tj. na Rejonowego Inspektora Koni.

Jego niefrasobliwość nie wyszła mu na złe, bo ja sam załatwiałem jako adiutant wszelkie sprawy pułkowe i nawet zawarłem cichą umowę z szefem sztabu dywizji, majorem dypl. Dworakiem, aby nie kwestionował niektórych papierów podpisanych przeze mnie, a nie Duchnowskiego.

W październiku 1928 roku miał się odbyć rajd konny z Warszawy przez Skierniewice, Łódź, Częstochowę i Kraków do Morskiego Oka. Wieniawa oświadczył, że on też weźmie udział w tym rajdzie i zaczęliśmy trenować i konie, i siebie. Dla mnie to było łatwe, bo miałem 31 lat, ale Wieniawa był starszy ode mnie o 17 lat i miał już 48 lat, a był znacznie mniej wytrenowany w długich marszach konnych. Pojechaliśmy i podziwiałem wytrzymałość tego człowieka.

Drugi nocleg wypadł nam w Łasku. Starosta zaprosił Wieniawę na kwatery i oczywiście, zamiast pozwolić mu wypocząć po przeszło 100-kilometrowym marszu, trzymał go przy kieliszku do rana. O godzinie 5 wyjeżdżaliśmy. Wieniawa po nieprzespanej nocy siadł na konia i jechaliśmy razem, trzymał się

zupełnie dobrze, mimo że wysiłek był duży i piątą część drogi szliśmy pieszo prowadząc konie w rękę. Dopiero po 70 kilometrach, gdy zatrzymaliśmy się na popas w majątku pana Siemińskiego w Dubicach, poprosił właściciela o kąpiel. Wykąpał się i pojechaliśmy po obiedzie dalej, do Częstochowy. Ciemno już się zrobiło, a Częstochowy ciągle nie było widać. Wreszcie przy drodze zobaczyliśmy idące wiejskie kobiety. Zapytałem więc z konia, czy daleko jeszcze do Częstochowy? Jakaś starsza niewiasta zatrzymała się i po pewnym namyśle odpowiedziała: „A będzie z połowa drogi”. Wybuchnęliśmy śmiechem, nie pytając więcej.

W Dubicach spotkał nas teść Sołtana, stary dyrektor Jaworski. Ten zacny stary raptus od razu nas sterroryzował swoją opieką. Musieliśmy zjeść z nim kolację w Częstochowie, nakrzyczał w hotelu, aby palono w piecu, wreszcie zapędził nas do łóżek.

W Krakowie był dłuższy postój, bo około 20 godzin. Droga do Nowego Targu była dość ciężka ze względu na górzysty teren i konie były już trochę zmęczone po przeszło 380 km, ale napojone na Obidowej wodą z dużą ilością cukru znów nabrały sił. Z Nowego Targu, na drugi dzień, był wyścig. Jechaliśmy do Poronina i stąd każdy mógł jechać, kórędy chce, do Morskiego Oka. My wybraliśmy drogę przez Murzasichle. Droga była okropna, kamienista i pod górę. Z Nowego Targu do Poronina 24 km jechaliśmy cały czas klusem, ale z Poronina aż do szosy z Zakopanego do Morskiego Oka musieliśmy iść pieszo, prowadząc konie w rękę, bojąc się, aby sobie na kamienistej drodze nie powykęcały nóg. Za to gdyśmy siedli na konie, widocznie wysokość i zmiana ciśnienia, a może powietrze spowodowały, że konie zrobiły się lekkie i jakby wypoczęte. Ruszyliśmy od razu klusem pod górę. Szły, jakby świeżo ze stajni. Nie dojeżdżając do Morskiego Oka zaproponowałem Wieniawie, aby wyjechał naprzód, gdyż czas liczono każdemu indywidualnie, a z Warszawy wyjechał 5 minut przede mną. Nie zależało mi, aby mieć czas lepszy o te 5 minut, jeżeli przyjedziemy do mety jednocześnie. Wieniawa ruszył więc dalej, a ja wstrzymałem moją wariatowatą Omyłkę. Lecz nie mogłem jechać stępem ani chwili. Omyłka stała zawsze razem z Pikusiem Wieniawy i gdy tylko Pikuś oddalił się zaczęła rzeć, a później tak się awanturować, że przejeżdżając obok przepaści na zakręcie drogi, mało brakowało, aby tam wpadła, wreszcie ruszyła galopem, a zatrzymać zwariowanego konia w takich warunkach terenowych nie jest ani łatwo, ani bezpiecznie. Dojechałem do mety jakieś 2 minuty po Wieniawie. Teraz konie zabrali już ordynansi, aby je odprowadzić pod opiekę chor. Baszkira do Zakopanego, gdzie miał się odbyć przegląd koni. Gen. Dreszer, który był kierownikiem rajdu, oświadczył, że po krótkim odpoczynku mamy iść piechotą do Czarnego Stawu. I my po 500 km w siedzeniu, w butach z ostrogami



3 października 1928. Rajd żołnierzy 1 pułku szwoleżerów do Morskiego Oka. Stoją od lewej: por. Stefan Cichocki, NN, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, rtm. Józef Szostak.

musieliśmy piąć się jeszcze te 200 metrów w górę. Po zejściu Dreszer zaproponował, że kto chce, może odjechać autem do Zakopanego, ale on z chętnymi przenocuje w schronisku i na drugi dzień przyjdzie przez góry. Znalazło się kilku amatorów górskiego spaceru, lecz my szwoleżerowie pojechaliśmy autem. Wieczorem Wieniawa wpisał u Trzaski do księgi pamiątkowej: „Koniec rajdu – teraz frajda” i frajda była do rana.

Tym rajdem pułkownik dypl. dr Bolesław Wieniawa Długoszowski zakończył dowodzenie pułkiem, przechodząc na inne, wyższe stanowisko. Zdał dowództwo ppłk. dypl. Janowi Karczowi<sup>46</sup>, który właśnie na jesieni ukończył Wyższą Szkołę Wojenną, oczywiście z humorem mówiąc: „Karcz mnie wykarczował z pułku”. Jednakże niezupełnie wykarczował, bo Wieniawa do końca swej bytności w Polsce zawsze się pułkiem interesował i zawsze zasięgano jego rady w każdej ważniejszej sprawie dotyczącej pułku.

Ja niedługo byłem już adiutantem przy Karczu. Jakkolwiek znaliśmy się dawno i byliśmy w najlepszych stosunkach, nawet mieszkając naprzeciwko siebie, szczerze mu powiedziałem, że wołałbym, aby sobie dobrał innego adiutanta.

<sup>46</sup> Jan Karcz (1898–1942) – płk dypl. we wrześniu 1939 dowódca Mazowieckiej Brygady Kawalerii, w czasie wojny czynny w ZWZ, aresztowany przez gestapo i w następstwie zamordowany w Oświęcimiu.





3 października 1928. Rajd żołnierzy 1 pułku szwoleżerów do Morskiego Oka. Stoją od lewej: por. Kazimierz Pereświet-Soltan, plk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, rtm. Józef Szostak, NN, NN, por. Stefan Cichocki, NN, por. Jan Motz.

Karcz zrozumiał mnie i przesunął – na stanowisko dowódcy szwadronu zapasowego, gdzie był etat majora.

Jako adiutant pułku zostawiłem po sobie, oczywiście przy akceptacji Wieniawy, kilka pamiątek, jak piękne płomienie do fanfar, zaprojektowane przez ppor. rez. Michała Bylinę, a wzorowane na płomieniach szwoleżerów napoleońskich. Pieniądze na nie wystrzał się Wieniawa i to niemałe, bo 4 płomienie kosztowały 5000 zł. Były pięknie haftowane srebrem i złotem, a były używane tylko przy wielkiej paradzie pułku. Orkiestra pułkowa też została doprowadzona do porządku i ubrana w wyszywane na rękawach srebrne trójkąty, nie mówiąc o ubraniu kotlisty, a zwłaszcza jego konia. Przy mnie i pod moją redakcją została wykonana Złota Księga pułku, część I i II.

Podczas dowodzenia pułkiem przez Wieniawę została ustanowiona odznaka pułkowa, którą ja zaprojektowałem, a zebranie oficerskie zatwierdziło, której drobny szczegół w rysunku zaproponował do zmiany grawer Gontarczyk z Miodowej. Odznaka była w formie srebrnej ośmioramiennej gwiazdy, z mniejszymi promieniami między głównymi ośmioma. W środku na amarantowym polu cyfra pułkowa J.P. pole obramowane wstążką o barwach wstęgi orderu *Virtuti Militari*. Opracowany przez nas regulamin, a zatwierdzony przez ministra spraw wojskowych przewidywał, że odznakę pułkową mogą otrzymać żołnierze,



26 października 1928. Uroczystość z okazji objęcia dowództwa 1 pułku szwoleżerów przez ppłk. Jana Karcz. Siedzą od lewej: ppłk Jan Karcz, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski, rtm. Józef Szostak.



26 października 1928. Uroczystość z okazji objęcia dowództwa 1 pułku szwoleżerów przez ppłk. Jana Karcz. Oficerowie pułku. W pierwszym szeregu od lewej: por. Mieczysław Bigoszewski, NN, ppłk Jan Karcz, płk Jan Głogowski, płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Powyżej prawego ramienia płk. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego rtm. Józef Szostak. W ostatnim szeregu pierwszy z lewej por. Kazimierz Pereświat-Soltań. W przedostatnim szeregu trzeci z prawej por. Stefan Cichocki.

którzy brali udział w wojnie w pułku, a podczas pokoju oficerowie po dwuletniej służbie w pułku, a szwoleżerowie po rocznej. Mogą, ale nie muszą. O tym decyduje komisja, a zatwierdza dowódca. Gdy została wprowadzona odznaka, komisja nie zgodziła się na nadanie odznaki Wirskiemu i mimo namawiań Wieniawy, który ze względów na jego stanowisko, chciał mu nadać, komisja twardo stała. Wobec tego w pierwszym nadaniu przyznano odznaki tylko żołnierzom z wojny. Gdy Wirski odszedł z pułku, wtedy dostali inni za czasy pokojowe.

Z dniem 1 stycznia 1929 roku zostałem mianowany majorem. Zostało nas tylko dwóch, ze starszeństwem z 1923 roku, reszta była rotmistrzami z 1919 roku. Trochę podgoniłem opóźnienie. W tym też roku wyszedł rozkaz, że do Wyższej Szkoły Wojennej kandydaci nie będą sami zgłaszali się do egzaminów, a będą wyznaczani przez dowódców pułków. Myślałem, że może Karcz mnie wyznaczy, lecz wyznaczył majora Mastalerza. Nie miałem o to żalu, bo Mastalerz był starszy ode mnie, a moje chęci więcej były powodowane ambicją, niż chęcią ukończenia szkoły. Nie byłem zarozumiałym co do moich wartości. Zawsze myślałem, że jestem dobrym oficerem liniowym, ale znałem swoje braki z wiedzy ogólnej i moje horyzonty myślowe daleko nie sięgały. Miałem raczej trochę kompleks niższości. Na namowy brata Bronka, który ukończył Wyższą Szkołę Wojenną w 1927 roku, abym zdawał do szkoły, kategorycznie odmawiałem, bo uważałem, że na pewno nie zdałbym. Tak że wyznaczenie Mastalerza uważałem raczej za słuszne i to potwierdzało moje mniemanie o sobie. Mastalerz odbył staże, ale gdy doszło do kursu próbnego, wycofał się i jedno miejsce nie zostało wykorzystane przez pułk.

W 1930 roku majorowie Mastalerz i Taube zostali awansowani na podpułkowników i obaj odeszli z pułku. Wtedy Karcz przesunął mnie na stanowisko kwatermistrza pułku. Byłem zrozpaczony, bo zupełnie nie znałem się na sprawach gospodarczych w zakresie pułku. Przy gospodarce ryczałtowej, którą wprowadzono w wojsku, kwatermistrz był jakby dyrektorem administracyjnym pułku. Musiał myśleć i mądrze planować zaopatrzenie tak w żywność, jak w umundurowanie, sprzęt taborowy oraz utrzymanie koszar.

Dobrze wspominałem czas dowodzenia szwadronem zapasowym, gdyż wtedy używał mnie Karcz bardzo często do spraw liniowych, które lubiłem i na których znałem się dobrze, na manewry w 1929 roku wyjechałem pełniąc w zastępstwie funkcję zastępcy dowódcy pułku, koncentracja była pod Łowiczem. Pierwsze kwatery wypadły w rejonie Błonia, a więc w moich rodzinnych stronach. Burmistrzem w Błoniu był wtedy Jan Kulisiewicz, mój kolega szkolny z 1 klasy. Ten sprytny człowiek, przypuszczam, że trochę z wyrachowania, zrobił w magistracie przyjęcie dla wszystkich oficerów. Dla nas to było miłe urozmaicenie podczas marszu. Bardzo mnie tam honorowali, jako pochodzącego





13 lipca 1929. Pożegnanie rezerwistów. W środku trzech oficerów mjr Józef Szostak.

rodem z powiatu błońskiego. Na kwaterach staliśmy w Bożej Woli p. Tabora, którego znałem przed wojną jako dyrektora fabryki zapalek „Błonie”. Pod Łowiczem kwaterowaliśmy we wsi Kombina, nad Bzurą. Była to piękna i zamożna wieś. Gospodyni na kwaterze Karcza przyjęła go przemówieniem, podkreślając,



26 czerwca 1930, Warszawa. W pierwszym szeregu od lewej stoją: rtm. Mieczysław Bigoszewski, rtm. Mieczysław Badowski, NN, ppłk Jan Karcz, mjr Józef Szostak, NN, rtm. Jan Motz. W trzecim szeregu szósty z lewej – por. Kazimierz Pereswiew-Sołtan (z odznaczeniem).





1930. Siedzą m.in.: płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski (czwarty z lewej), ppłk Jan Karcz (piąty z lewej), ppłk Zygmunt Wenda (czwarty z prawej), rtm. Jan Motz (drugi z prawej). Stoją m.in.: rtm. Mieczysław Badowski (drugi z lewej), mjr Józef Szostak (ósmi z lewej), por. Józef Wilczyński (dziewiąty z lewej), rtm. Franciszek Flatau (dziesiąty z lewej), por. Kazimierz Pereswiet-Sołtan (czwarty z prawej).



1 czerwca 1930. Uroczyste powitanie prezydenta Ignacego Mościckiego w pałacu hrabiego Maurycego Potockiego. Na pierwszym planie od lewej: adiutant prezydenta kpt. Bolesław Suszyński, hrabia Maurycy Potocki, żona Maurycego Potockiego Maria Brydzińska, adiutant prezydenta rtm. Wacław Calewski, prezydent Ignacy Mościcki, premier Walery Sławek, wiceminister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki, gen. Jan Karol Wróblewski, minister reform rolnych Witold Staniewicz, minister rolnictwa Leon Janta-Połczyński, Michał Mościcki, szef kancelarii prezydenta Adam Lisiewicz, zastępca szefa kancelarii prezydenta Zygmunt Skowroński. Pod czwartą kotarą z lewej stoją od lewej: Kazimierz Świtalski, NN, dowódca oddziału zamkowego mjr Edward Czuruk. Pod czwartą kotarą od prawej stoją od lewej: mjr Józef Szostak, rtm. Jan Motz, rtm. Franciszek Flatau, płk Jan Karcz.

że jej to zaszczyt przynosi kwaterowanie dowódcy pułku i zapytała, czy może nas ugościć. Oczywiście podziękowaliśmy za zaproszenie i zasiedliśmy do stołu. Gospodyni nalała sobie kieliszek wódki i przepiła do pułkownika, resztę z kieliszka strzepując na podłogę, ale z nami nie usiadła, tylko bardzo gościnnie nas obsługiwała. Byłem po prostu zachwycony zachowaniem się tej chłopki, była pełna godności własnej, ale bardzo grzeczna i miła, choć nie pierwszej młodości.

Podczas tych manewrów mieliśmy jedno ćwiczenie pokazowe dla jugosłowiańskiego ministra spraw wojskowych. Trzeba przyznać, że słuchacze zrobili na nas jak najlepsze wrażenie, zewnątrznie byli bardzo elegancy. Niestety ćwiczenie zakończyło się o tyle tragicznie, że utonął w Bzurze por. Gustaw Zieliński z naszego pułku. Spadł z brodu i niemożliwy był wszelki ratunek. Ciało wydobyto po 4 godzinach. Podczas obiadu przemawiał generał Serb. Mówił po serbsku, lecz kto znał rosyjski język, nietrudno mu było zrozumieć. Złożył pułkowi kondolencje z powodu śmierci Zielińskiego. Bardzo byliśmy wszyscy przygnębieni tym wypadkiem, gdyż Zieliński był ogólnie lubianym i szanowanym oficerem. Gdyby nie ta śmierć, można by zaliczyć manewry pod Łowiczem do jednych z przyjemniejszych.

Po Mastalerzu zastępcą dowódcy pułku został ppłk Konrad Zembruski, który wrócił do pułku ze stanowiska adiutanta Marszałka. Zembruski był beliniakiem i starym żołnierzem z Kompanii Kadrowej. Chłopisko było zacne, choć nietęgi był z niego kawalerzysta.

W 1930 roku znów spotkał mnie zawód. Karcz, gdy wyznaczył Mastalera do Wyższej Szkoły Wojennej zapewnił mnie, że w następnym roku wyznaczy mnie, choć ja wcale się o to nie rozbijałem. Lecz gdy przyszedł rozkaz w tej sprawie, nic mi nie mówiąc wyznaczył por. Cichockiego. Bardzo mi było przykro, bo nie posądzałem Karcz o taką nieszczerłość, zwłaszcza że Cichocki wcale nie był tęgim oficerem, chyba tylko z tuszy. Cichocki oblał się na kursie próbnym i do szkoły nie został przyjęty.

Na manewry w 1930 roku wyszliśmy pod Sieradz. Z Warszawy ja sam prowadziłem pułk, bo Karcz i Zembruski mieli trochę później przyjechać koleją. Marsz ten pozostał w mojej pamięci, gdyż przez cały czas lały deszcze i mokliśmy bez przerwy.

Do funkcji kwatermistrza pomału zacząłem się wciągać i rozumieć, o co chodzi. Miałem stosunkowo dobrego płatnika, który przedtem był oficerem żywnościowym, kpt. Kowalskiego. Był to człowiek inteligentny, ale nieszczęśliwy. Ożenił się kiedyś z prostą robotnicą, nawet przystojną i zdrową niewiastą, która bardzo go terroryzowała, a on wobec niej był zupełnie bezwolny. Miał słaby i tchórzliwy charakter i bał się mnie panicznie. Natomiast oficerów

żywnościowego i materiałowego miałem raczej słabych i musiałem za nich myśleć. Mimo że kwatermistrzostwo jakoś pchałem, ale nie miałem do tej funkcji serca i marzyłem, aby się jej pozbyć.

Na początku marca 1931 roku przyszedł kiedyś do mnie Józio Makowiecki i przyniósł ze sobą Dziennik Rozkazów Ministra Spraw Wojskowych. W dzienniku tym były podane zmienione warunki przyjęcia do Wyższej Szkoły Wojennej, polegające na tym, że do szkoły nie wyznaczają kandydatów dowódcy, a kandydaci sami składają podania o przyjęcie. Kandydaci musieli odpowiadać następującym warunkom: opinia wybitna lub bardzo dobra, matura, stopień nie niższy jak porucznika, nieprzekroczone 35 lat. Przedwstępne egzaminy miały się odbyć w pierwszej połowie maja, a więc, jak dla mnie czas na przygotowanie się – zaledwie dwa miesiące. Podane było, z czego będą egzaminy. A więc ze znajomości Ogólnej Instrukcji Walki oraz regulaminów: piechoty, kawalerii, artylerii i chyba saperów, z historii wojennej: kampania włoska Napoleona i wojna polsko-rosyjska 1830–31 rok, wreszcie wiedza ogólna. Gdy mi to Makowiecki przeczytał i zaproponował, abyśmy razem złożyli podania o dopuszczenie do egzaminów, kategorycznie odmówiłem, uważając to za bezczelność, aby porywać się na rzeczy niemożliwe do osiągnięcia. Dotychczas kandydaci do Wyższej Szkoły Wojennej przygotowywali się do egzaminów po dwa lata i też oblewali się. Trepto 3 razy zdawał i dopiero za trzecim razem był przyjęty i to nie wiadomo, czy na pewno zdał, a czy Wieniawa nie maczał w tym palców. Dla mnie to był ostatni dzwonek, bo miałem już skończone 34 lata, a do tego uważałem, że lepiej być dobrym oficerem liniowym, niż kiepskim dyplomowanym lub kompromitować się oblaniem. Ale Mak był nieustępliwy i tak długo mnie przekonywał, aż trafił we właściwy argument. Słusznie powiedział: „Złożmy podania i uczmy się. Jak nie będziemy się czuli na siłach, aby zdawać – wycofamy się, ale czego się nauczymy, to nam zostanie”. Broniek też mnie kiedyś namawiał, ale nie przekonał i nie dałem się namówić. Bez wielkiego przekonania złożyłem podanie Karczowi do zaopiniowania i przesłania drogą służbową dalej. Nie przyklasnął on moim zamiarom. Zaopiniował przypuszczalnie sprawiedliwie i dobrze, ale nie namawiał mnie i nie podtrzymywał w zamiarze. Z jego rozmowy ze mną raczej wyczułem, że nie uważa mnie za odpowiedniego kandydata na oficera dyplomowanego, ale nie odmawiał mi. Nie zgodził się na ułatwienie mi nauki i żądał, abym nadal pełnił obowiązki kwatermistrza, a uczyć się mogę po godzinach pracy.

Teraz ja zawiązałem się i zaczęliśmy z Makiem naukę. Prócz mnie i Maka z pułku złożył podanie również Cichocki, aby jeszcze raz próbować szczęścia. Uczyliśmy się z Makiem bardzo gorliwie. Nie chodziliśmy przez dwa miesiące absolutnie nigdzie. Od godziny 15 do 24 co najmniej, kuliśmy. Jeszcze





Sierpień 1930. Obóz ćwiczebny 1 pułku szwoleżerów. Drugi z lewej – mjr Józef Szostak.



Sierpień 1930. Obóz ćwiczebny 1 pułku szwoleżerów. Na czele – mjr Józef Szostak.





Sierpień 1930. Zabawa pożegnalna na wsi. Pierwszy z lewej przy stole siedzi mjr Józef Szostak.



Sierpień 1930. Zabawa pożegnalna na wsi. Tańce z udziałem szwoleżerów. W centrum – mjr Józef Szostak.



5 kwietnia 1931. Rezurekcja – procesja pod baldachimem przy kościele garnizonowym 1 pułku szwoleżerów Józefa Piłsudskiego w Warszawie. W procesji (pod baldachimem) uczestniczą rtm Józef Szostak (z lewej) i ppłk Jan Karcz (z prawej).



5 kwietnia 1931. Świącone w kasynie podoficerskim. W grupie żołnierzy widoczni dowódca pułku Jan Karcz (drugi z prawej) i Józef Szostak (pierwszy z prawej).

musieliśmy dodatkowo douczać się języka francuskiego, bo i z tego był egzamin. Wreszcie na początku maja uważałem, że jestem na tyle przygotowany, aby ryzykować zdawanie, choć największe niebezpieczeństwo tkwiło w wiedzy ogólnej. Polityką nigdy nie zajmowałem się i miałem w tej dziedzinie bardzo słabe wiadomości.

Nadszedł dzień egzaminów. Wchodząc do szkoły, gdy zobaczyłem popiersie Napoleona stojące przed budynkiem Wyższej Szkoły Wojennej na Koszykowej, jakoś zwątpiłem, aby mogło mi się udać przekroczyć progi tej uczelni na dłużej. Zdawało nas około 300 oficerów, między innymi i Janek Chełmicki, który był porucznikiem 36 pułku piechoty. Egzaminy trwały tydzień. Na pożegnanie przemówił do nas komendant szkoły, gen. Kutrzeba. Mówił bardzo krótko. Stwierdził, że spotkamy się we wrześniu w znacznie zmniejszonym gronie, lecz aby się nie zrażać, gdyż do szkoły można zdawać kilka razy, a uczyć się trzeba zawsze.

Po pewnym czasie podano nam do wiadomości wyniki egzaminu przedwstępnego. Dowiedziałem się, że zdałem i zostałem dopuszczony do egzaminu wstępnego oraz że mam odbyć staż w piechocie i artylerii. Karcz postarał się, abym staż w piechocie odbywał w Warszawie w 37 pułku piechoty i abym mógł pomóc memu następcy, może czasowemu, rtm. Stempkowskiemu Michałowi. Staż w artylerii miałem odbywać w 14 pułku artylerii lekkiej z garnizonu Poznań.

Ciężki i bardzo nudny był staż w piechocie. Musiałem bardzo wcześnie wstawać, aby nie spóźnić się na ćwiczenia, wyjeżdżając tramwajem z trudem zajeżdżałem na Pragę i doganiałem batalion maszerujący na Pelcowiznę, na plac ćwiczeń. Tu nudziłem się jak mops, patrząc na chwytty bronią, walkę na bagnety czy wyszkolenie strzeleckie. Raz tylko wziąłem udział w ćwiczeniach polowych, podczas których dowodziłem batalionem. Śmiać mi się chciało, gdy po zdaniu raportu dowódcy pułku, przed wymarszem, ten wyraził zdziwienie, że nie zrobiłem żadnego błędu podając komendy dla batalionu, tak jak by to było coś trudnego nauczyć się tych paru komend.

Na staż do Poznania nie potrzebowałem jechać. Pojechałem od razu na poligon w Pohulance za Wilnem, gdyż w tym czasie 14 pal<sup>47</sup> już był w drodze. Zameldowałem się u płk. Gałązki, dowódcy pułku, bardzo miłego górala. Prócz mnie był tu jeszcze rtm. Roman Stankiewicz z 13 pułku ułanów, z którym po raz trzeci spotykałem się na kursie oraz kapitan Wojciech Wajda, bardzo przyjemny człowiek i major Aleksandrowicz. W 14 pal było nam dobrze, tylko cierpiałem stale na brak snu. Dowódcą grupy artylerii był płk Chmurowicz, a dowódcą

<sup>47</sup> Pal – pułk artylerii lekkiej (przyp. red.).



piechoty dywizyjnej 17 DP płk Alter<sup>48</sup>, przydzielony do grupy artylerii jako kierownik taktyczny. Obaj byli dawnymi oficerami austriackimi i uważali, że nie wypada im grać w brydża ze swymi podwładnymi, ale ze stażystami można. Często więc musieliśmy do rana, razem ze Stankiewiczem, przesiedzieć przy kartach z naszymi czasowymi przełożonymi. Pożytek z tego był tylko taki, że graliśmy lepiej od pułkowników i wygrywaliśmy. Poznaliśmy przez te parę tygodni rzemiosło artyleryjskie na tyle, że od biedy moglibyśmy kierować ogniem z punktu obserwacyjnego. Na pożegnanie urządzono dla nas kolację, podczas której wygłoszono parę przemówień pod naszym adresem. Ja, jako najstarszy stopniem stażysta, też zabrałem głos, dziękując naszym artylerzystom za pogłębienie naszej wiedzy, a pułkownikom Chmurowiczowi i Alterowi również za uzupełnienie naszych poborów wygranymi w brydża. To zakończenie wywołało humor wśród mało wesołego nastroju.

Wreszcie we wrześniu zaczął się tzw. kurs próbny, który trwał 6 tygodni. Był to właściwie bardzo skrupulatnie przeprowadzony egzamin, gdzie każdy kandydat, prócz prac pisemnych, odpowiadał z każdego przedmiotu 3 do 4 razy i to dość długo, za każdym razem przed innym wykładowcą. Dwa momenty miałem przykre. Wykładowcą taktyki piechoty był ppłk Salini i gdy u niego odpowiadałem, miał on ciągle niezadowoloną minę i co pewien czas zadawał pytanie: „No i co dalej?”. To mnie wyprowadziło z równowagi, lecz gdy po wyjściu na korytarz rozmawiałem z Makiem, będąc najgorszych myśli, podszedł do mnie asystent taktyki piechoty, major Brajczewski i uspokoił mnie, że odpowiadałem zupełnie dobrze i abym się nie przejmował, bo płk Salini jest dobry chłop, tylko ma taki przykry sposób zadawania pytań. Drugim przykrym momentem były odpowiedzi z taktyki kawalerii. Egzaminował mnie major Biernacki. Zadał mi kilka pytań, na które na pewno dobrze odpowiedziałem, lecz jemu moje odpowiedzi nie odpowiadały i nie zgodziliśmy się. Nie miałem przekonania do tego oficera, gdyż wiedziałem, że bardzo mało przebywał w linii i że ja mam na pewno więcej wiadomości z taktyki kawalerii niż on. Ale on był asystentem tego przedmiotu. Pamiętam, że wychodząc po egzaminie, gdy do któregoś z kolegów powiedziałem, że chyba się oblałem, stary woźny, który podawał mi płaszcz, wtrącił się do rozmowy i powiedział: „Ja panie majorze jezdem stary prefesur szkoły. Tu już niejednen tak mówił. Jeszcze pan major będzie wykładowcą”.

Teraz zaczął się okres denerwującego oczekiwania na ostateczne wyniki egzaminów. Czekałem na decyzję, czy będę dalej kwatremistrzem, czy przyjmą

---

<sup>48</sup> Franciszek Alter (1889–1945) – gen. bryg. We wrześniu 1939 dowódca 25 dywizji piechoty w składzie Armii „Poznań”. Zmarł w niemieckim obozie jenieckim.

mnie do szkoły. Na kursie próbnym było nas ponad stu, a przyjętych miało być 50. W czasie trwania kursu Karcz odszedł z pułku na stanowisko szefa departamentu kawalerii w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Pułk objął przeniesiony z artylerii konnej do kawalerii płk dypl. Antoni Trzaska-Durski (niekoniecznie dobre pociągnięcie Wieniawy). Bardzo nieprzychylnie patrzyliśmy na tę zmianę, zwłaszcza, że Durski nie umiał, tak jak Wieniawa, wziąć za serca oficerów i cały pułk. Odnosił się sztywno, a my znów nie byliśmy tacy, aby nam to zaimponowało lub nas nastraszyło, też byliśmy sztywni i tylko służbowi.

Na parę dni przed ogłoszeniem wyników przyszedł do mnie Cichocki, z wiadomością, że do szkoły został przyjęty tylko Mak, a on i ja nie będziemy przyjęci, ale gdyby Wieniawa zwrócił się do gen. Kutrzeby, to byłaby możliwość i nas przyjęcia. Proponował, abym poszedł do Wieniawy i poprosił go, to na pewno dla mnie zechce interweniować. Odpowiedziałem kategorycznie, że w żadnym wypadku nie będę próbował dostać się do szkoły przez protekcję i do Wieniawy nie pójdę. Przykro mi było bardzo, że mój wysiłek nie osiągnął skutku, ale godziłem się z losem. Już nawet w pułku zaczęły się drobne przymówki, że Mak młodszy zdał, a ja nie. Wieczorem tego dnia wpadł do mnie Karcz pytając o wyniki egzaminu. Powiedziałem mu, że oficjalnych jeszcze nie ma, ale Cichocki gdzieś się dowiedział, że jakoby nie zdałem. Karcz obiecywał mi, że jako szef departamentu może zapytać Kutrzebę o wyniki egzaminów oficerów kawalerii. Na drugi dzień przyszedł do mnie Karcz i powiedział, że i rozmawiał z Kutrzebą. Cichocki narobił rozmyślnie plotek, aby przez moją osobę uzyskać protekcję dla siebie. Ja i Mak zdaliśmy obaj. Ja z 10 lokatą. Cichocki oblał się. Byłem szczęśliwy, bo ostatecznie moje pojęcie o samym sobie poprawiło się. Jeżeli wytrzymałem konkurencję z tyloma najlepszymi oficerami, to nie muszę być już takim zerem umysłowym. Rad byłem, że nie będę już kwatermistrem, a ambicja moja została mile polechtana!

## W Wyższej Szkole Wojennej

Na początku listopada 1931 roku rozpoczęliśmy pierwszy rocznik Wyższej Szkoły Wojennej. Na naszym roczniku było stosunkowo bardzo dużo kawalerzystów, bo aż 13. Na 50 słuchaczy to 25%. To był dowód, że mimo wszystko w kawalerii poziom inteligencji był wyższy na pewno niż w piechocie. Piechota miała czterokrotnie większą ilość oficerów niż kawaleria, a do szkoły zdała z piechoty stosunkowo mała ilość, bo w tych 75% byli oficerowie artylerii, saperów i lotnictwa oraz łączności. Najstarszym kawalerzystą byłem ja. Drugim